

## Małgorzata Saska

Jestem trochę złudzeniem, ale  
złudzeniem potrzebnym,  
rekwizytem,  
który kiedyś zostanie odrzucony,  
ale póki jest potrzebny,  
musi być utrzymywany w dobrym  
stanie, konserwowany,  
udoskonalany...

Tę podróż do Dali S., której przewodnikiem jest J., otrzymałam w prezencie. Tak nagle dostałam od losu wszystko. Tak nagle, jak pisze się usprawiedliwienia. Poczułam w sobie niepokój. Wiedziałam, że mój drogi J. znowu znalazł się na pograniczu dwóch światów. Oszołomiony radością wędrowania i winem, stawał się dionizyjski. Rozkołysany, tańczący w sobie, przywoływał ku sobie dawne przeżycia i ludzi. Telefon rozgrzewał się do czerwoności. J. pozdrawiał cały świat. Panował jedynie nad przeszłością. To, co jest, nie miało dla J. żadnego znaczenia. Podróżował w czasie.

Sięgnęłam po starą Księgę *I Ching*. Zapowiedź naszej wspólnej wyprawy do Figueras. Heksagram 28. *Ta Ku: Przewaga wielkości*.

„...Jest to wyjątkowy czas i sytuacja, toteż potrzebne są nadzwyczajne środki. Możliwie najszybciej należy znaleźć drogę przejścia i zacząć działać. Obiecuje to powodzenie (...). Niczego nie da się osiągnąć siłą. Problem trzeba rozwiązać przez łagodne przenikanie sensu sytuacji (...). Wymaga to prawdziwej wyższości (...). Oba trigramy wskazują postawę właściwą takim wyjątkowym czasom: Symbolem trigramu Sun jest drzewo, które stoi mocno, jeśli nawet stoi samotnie, a atrybutem Tui jest nastrój radości, który nie przynosi uszczerbku, jeśli nawet musimy wyrzec się świata (...). Oto mamy do czynienia z sytuacją, w której niezwykłość osiągnęła zenit. Jesteśmy odważni i chcemy wykonać swe zadanie, bez względu na to, co się wydarzy. Grozi nam jednak niebezpieczeństwo (...). Ale nie jest hańbą oddać swe życie za to, by dobro i słuszność zwyciężyły. Są bowiem rzeczy ważniejsze od życia (...).”

Wyruszyłam na podbój Novej Europy, Europy połączonej autostradami, bez granic. Zapomniałam o rzeziach w imię GOT MIT UNS. Kiedyś byłam dzieckiem, dzieckiem miejsc, których już nie oplakuje nadchodzące pokolenie. Samotna matka Europa...

Na miejscu startowym ku Dali S. spostrzegam dużo ludzi, ciągnących swoje walizki. Pachną gotowością, oczekiwaniem na święto. Każdy, kto wybiera się w drogę, bierze ze sobą to, co ma najlepszego. Pachną koszule, majtki, pasty do zębów, aparaty fotograficzne. Wszyscy są piękni i domy. Ja, też. KONTROLER lotów nie zabiera na podniebny pokład bałaganiarzy.

Wiem, że domy, które wędrowcy opuszczali na chwilę, nie są tak piękne, jak ich bagaże. Skąd Oni wszyscy wiedzą, że na granicy startu podróżni są pod kontrolą i winni wykazać się gotowością, sterylnością? GOT MIT UNS. Boję się. Skąd ten niepokój? Znam przecież przesłanie Księgi *Przewaga wielkości*.

Wiem. ***Problem trzeba rozwiązać przez łagodne przenikanie sensu sytuacji...***

Proste. Nie mam pewności czy właściwie ułożyłam rzeczy. Za chwilę graniczny rentgen i wszystko się wyjaśni.

Za chwilę dowiem się, jak powinno być.

Mój bagaż:

Raz majtki.

Dwa niedoprasowane podkoszulki.

Sukienka czarna z rozcięciem na plecach – ofiara z opieki społecznej.

Wizytowa tunika ze złotym kapturem – pośmiertny strój koncertowy przyjaciółki.

Szary sweterek z lekka znoszony – podarunek z opieki społecznej.

Biały sweterek z przeceny jesiennej, kupiony w Paryżu, okazja.

Spodnie białe, płócienne, od Ewy.

Dywan – szal ochronny, egipski od J. Zna zapach Egiptu.

Szal bordowy z obszywką Picassa – tajniak.

Nocna koszulka – o mało nie zapomniałam o niej.

Jeszcze jedna koszula jedwabna z dwiema kieszonkami, safari – nie wiem, kto ją zostawił w moim domu. Pasuje do mnie.

Notesy. Notesy, adresy. Kupiłam na lotnisku–granicy dwa tomy Dostojewskiego. *Zbrodnia i Kara*. Dwa tomy. Papierosy Marlboro.

Mam 100 EURO. Też od J. Miały być na mieszkanie. Ale J. nie wierzy, że coś będzie budował. Nie zaprzeczam. Biorę ten datek na drogę do celu. DALI, DALI... via Paryż.

Właściwie cała jestem z niego. Zbudowana jestem z J.

Ta podróż jest jego podróżą. Dzieli się tym, co ma. Jestem jego bagażem.

Kim będę po wzgórzach Pirenejskich? Dokąd lecę? Nieprzygotowana. Nijaka. *Niczego nie da się osiągnąć siłą* – upominała stara księża.

Metalowym ptakiem leciałam nad granicami państw i narodów. Tam, między niebem i ziemią, przypięta pasami do twardego krzesła tak mocno, tak mocno, że czułam swoją fizyczność, odczułam lekkość. Być w tym uścisku, być jak najdłużej, przebijać się wraz z nim, metalowym ptakiem, przez kłębowiska bieli. Jeszcze chwila i spadnę gdzieś i rozpocznie się Nowe Transkontynentalne wędrowanie. Pojawią się znane granice. Zieleń pomiesza się z brunatno-szarym kolorem miast.

I stało się. Spadłam. W sam środek miasta wielkich możliwości.

Żeby tam dotrzeć trzeba przejść szare korytarze i napisy w nieznanym mi języku.

Nie chcę znać tej mowy. Po co wiedzieć aż tak dużo?

Szukam, szukam J. Nie ma, nie ma J.... To znaczy nie ma nikogo. Ale ja też jestem z przeszłości a więc pojawi się, odnajdzie mnie...

Marlboro smakują mi jak nigdy. Jeden za drugim, dym.

Osadzam się na brzegu Paryża. Spokojna. Tak, jestem spokojna. Czekam. To, co umiem najlepiej to czekać. Zawsze czekam. Czekam na autobusy, czekam na

sny, czekam na pieniądze, na cud, czekam na szabas, czekam na dojrzałość dzieci, czekam na słowa, na telefon. Na ujawnianie się pełni. Jestem nieustającym czekaniem.

Jest. Jest J. Trzyma się barierek, ogląda bagaże. Przyglądam mu się chwilę.

Jaki on dorosły... Dopiero teraz widzę, że wiele, wiele ma już za sobą. Czyżbym na tak długo straciła go z oczu, że nie zauważyłam tej pełnej dojrzałości. Mamy oboje tak niewiele czasu....

Budzi się we mnie dziecko, chcę natychmiast wpaść w czułość. I tak jak tam w górze, być jak najdłużej w uścisku, przebijać się wraz z J. przez kłębowiska ludzi, wspomnień, książki. Trwać. *Oto mamy do czynienia z sytuacją, w której niezwykłość osiągnęła zenit. Jesteśmy odważni i chcemy wykonać swe zadanie, bez względu na to, co się wydarzy.* Jesteśmy. Rozpoczęła się nasza Transkontynentalna podróż.

Ciepło miasta. Lubię w Paryżu te przyklejone do domów kawiarnie. Kawa na Bulwarze de Grenelle ma swoisty smak. Jest powitaniem wędrowca.

Rozpoczęło się świętowanie. Pomiędzy jednym a drugim czerwonym kieliszkiem J. zapętlił się... w przeszłości... Ma ją w sobie, za sobą, przed sobą. Przeszłość jest jak poznany krajobraz, tam J. czuje się najbezpieczniej. To opanowana przestrzeń. Dzieli się, rozpamiętuje, rozkłada, przywołuje swoją pamięcią kobiety. Znam je. Jestem z J. w Łodzi, w Arabii Saudyjskiej, na weselu, płynę przez miejsca dawnych obecności. Płynie wino i ja zaczynam czuć jego falowanie. Odbieram świat fizycznie, wracają zapachy... nie, jeszcze nie czas. Czekanie. Poddaję się kolejnemu odkrywaniu pamięci, kolejna kobieta i jej świat. Rejestracja bliskości. Na video. Tak, tak bardzo chcę to zobaczyć. Jak J. to robi. Jak zapamiętują siebie wspólnie, pieczętują obecność. Jak to jest? – myślę gorączkowo.

Ona czeka, rozchyła usta i uda do fotografii, obraz się oddala, on wchodzi w kadr. Cięcie, ciecie, rżnięcie, ciecie. I już. I taka ulga. Można nic nie

powtarzać tylko potem podziwiać siebie na obrazkach. Chcę, nareszcie czegoś chcę, chcę zobaczyć ruchome ikony. Zobaczyć cuda bliskości odtwarzalnych na maszynach video i w kolorze. I ten wspólny zachwyty rozkoszy.

*...Złoty Wiek to oczywiście Atlantyda, a nie „raj zwierzęcości”, z którego rzekomo wyszliśmy (jak bredzi Darwin, a za nim np. Radin). Zwierzęcość jako „raj”?! To potworne poczucie znalezienia się w kosmicznej „ślepej uliczce” rozwoju, poczucie bycia śmiertelnym?!. To jest „raj”?! Może „raj” Arymana...*  
Po głowie telepią się nie moje myśli. Muszę wracać na miejsce. Głupia jesteś – mówi J. Tak, on wie, że nic nie rozumiem, nic z tego nie rozumiem. Nic. I to jest ustalony porządek rzeczy. Tak było prawie od początku.

Nareszcie mapa. Pojawia się podróż. I tak jadę, jedziemy, z szybkością światła. *Snem jest świat spostrzeżeń, jedyną rzeczywistością – świat idei.* Tak, tak chce żyć. Jeszcze nic nie może zmienić mojego oczekiwania na zespolenie się z miejscami nieznanymi, wędruję przez świat dawny. Zamkami, labiryntami, ukrytymi tajemnicami (są też otwarte tajemnice). Na końcu tej drogi są zakryte mgłą Pireneje.

Niech tak zostanie do naszego tam z J. przyjazdu. Wino, jeszcze jedno wino.... czerwono. Jeszcze tylko metrem w środek miasta. Tak, jestem w mieście nieznaney mi mowy. U siebie. Paryż. Kolorowe witraże. Sufity z witrażami, czerwone wino i owo słynne już we mnie oswojone, pojawiające się słowami ... spadaj. Spadaj – bełkocze J. TO jest AKT. Uznać, przyjąć się ...do... spadaj... Ta droga powrotna – metro. Schodami w dół, schodami w górę. Kolorowi ludzie. Kręgi, kręgi, lekkie wędrowanie. Nic nie dotyczy. Nic nie musisz zapamiętać. Od niczego się nie odwracasz. Tą drogą się nie wraca po raz kolejny i kolejny... Dopiero tam w Pirenejach droga będzie do zapamiętania. Tam nic nie zgaśnie. Zapadnie w tobie i zostawi ślad. Ikona.

Noc osłoniła wszystko. J. nie zapalił w pokoju żadnej lampki. Zdjęcia kobiet ukryte za horyzontem. To pozwoli mi być...dotkniętą. Podałam się całą swoją istotą. „Uwięzienie i śmierć wchodzi w skład sympozjonu na cześć Erosa. Kto chce

kochać, ten musi przyjąć na siebie cierpienie i śnić. Eros nie rusza się nigdzie bez Tanatosa”. Tak, to jest ten moment. J. zapada w sen, Ja w proroctwa. Każde z nas śni siebie. Zaczyna się wielkie widowisko, pełnia zdarzeń. Jedność, dosięganie bytów ponad, poza cielesnością. Zatonięcia. Fizyczność pozbawiona czujności. *Sacrum*. Ciało stamtąd wraca bezimienne. Potem trzeba przejść drogę, żeby przygotować się do zadań pozostawionych na jawie. ***Co jest ważniejsze: Ty sam czy Twoje problemy? Ty – czy Bogowie? Ty sam – czy to, co do ciebie należy: cały twój los, to, co masz, i to, czego nie masz, a co mieć chciałbyś? Być czy Mieć? Wszystko, co nas przekracza pozbawione jest cierpienia, pozostawia jedynie ból.***

Doczesność uwiera. Tutaj potrzeba organizacji. Systemu. Perfekcja pozwala przeżyć. Mieć. Mieć. Wpisać się na listę obecności. Mieć swoje miejsca, ludzi. Mieć. To nas stanowi i nic innego nie jest rzeczywiste chyba, że śnienie. Sen wybawia nas z gonitwy za przetrwaniem. Czuwam nad snem J. Gdzie jest teraz?

Widzę go. Szuka miejsca w przedziałach pociągów. Setki, setki wagonów a w nich tylko jeden podróżny z psem. Obaj ospali, nieobecni. Pan i pies szukają miejsca. Nie wiadomo, kto za kim idzie. Są wszędzie tam, gdzie jest J. Pojedyncze wagony zatrzymują się na wybranych stacjach. Paryż – Austerlitz, Perpignan, Narbonne, Toulouse, Figueras znowu Narbonne, Perpignan, Paryż, Figueras, Narbonne.... Pociągi z całym składem jadą dalej i dalej. Prowadzi je uśmiechnięty, radosny KONDUKTOR. Pozdrowia czapką podróżnych. Stacja za stacją. Pociągi widma. Nikogo nie zabierają. Zmieniają trasę! Krążą w koło. Wpadają w zielone pejzaże, pada deszcz. Wszędzie pada deszcz. Gdzie jest J.?

W specjalnym wagonie z zamalowanymi na biało oknami dzwoni telefon. Jest. Rozmawia. Ustala czas i miejsce podróży. J. jest wyczerpany, brudny. Wagon cały zalany czerwonym winem i spermą. Nieznośna ilość kotów i maniackalne dwa psy przechadzają się po przedziale. Jakaś kobieta myje okna z bieli. Zielona przestrzeń wypełnia szpitalny wagon... J. rozkołysany sobą, odnajduje pełne piersi kobiety, kocha się nią, pokonuje siebie, wydobywa część

swojej pełni i zrzuca siebie. Podtrzymuje się laską. J.? Nie, to nie on. Pociąg zatrzymuje się w Perpignan. Mężczyzna z ostro zakreconym sztywnym wąsem, z laską wysiada ze szpitalnego wagonu. Gestem *duce* pozdrawia stare kobiety.

Gdzie jest J.?

Nie mogę sobie znaleźć miejsca. Chodzę po pokojach. Obijam się o obrazki. Dziesiątki kopert przekładam z miejsca na miejsce. Mogłabym tu być na zawsze, tyle jest do zrobienia. Trzeba odnowić okna w kuchni. Na nowo ułożyć rzeczy w szafce. Najważniejszy jest jednak porządek pod łóżkiem. Gdzie położę nowe książki? Tutaj w pokoju z widokiem na metro musi być miejsce na Torę. Jutro piątek.

Nie mogę doczekać się szabasu... To już jutro. Jutro w Pirenejach, w miejscu nie dla Żydów, będzie szabas. Obudzę J. Zapytam, czy pamięta o świecach na drogę. Dzwoni telefon. Wraca niepokój. J. odgradzony, zamknięty we śnie, nie zrywa się, dzwonki urwały się szybko. J. jest bezpieczny – myślę. Tyle dni, tyle dni zabijał w sobie niepokój i euforię, aż wreszcie dotarł do wyzwania. ***Jesteśmy odważni i chcemy wykonać swe zadanie, bez względu na to, co się wydarzy.*** Rano wypiję kawę, małe pakowanie i przed nami nasza pierwsza podróż Transkontynentalna. Za dziesięć czwarta, pora spać. Zegarek ustawiony na 6.30. Podążymy do miejsc naszych jak pielgrzymi. Wtulam się w J. tak cichutko, cichutko, żeby nie odebrać go śnieniu. Słyszę tylko jak szepcze... chciałbym z tobą umrzeć... Tak będzie, tak będzie... Mamy niewiele czasu, niewiele czasu, śpij.

***Jakże rzadko odczuwamy dziś podziw dla czegokolwiek czy kogokolwiek. Jego miejsce zajęły zawiść i nienawiść dla tych, których powinniśmy podziwiać – nosiciele sensu i wartości. Znaczy to, że sens i wartość chcielibyśmy mieć – jak tamci – za darmo, bez wysiłku i cierpienia. Wziąć je, nic w zamian nie dając.***

Czekam, czekam i marzę o tej Transkontynentalnej podróży. Nie wiem, dokąd prowadzi, wpadam w mityczne, spełnialne światy. Jestem nieprzygotowana. Nijaka. Nie mam żadnej roli dla siebie. J. przewodnikiem.

„Grozi nam jednak niebezpieczeństwo (...). Ale nie jest hańbą oddać swe życie za to, by dobro i słuszość zwyciężyły. Są bowiem rzeczy ważniejsze od życia(..).” J. oddycha ciężko. Pachnie amoniakiem. Zatruty. Zabija się powoli, robi to na raty, powoli. Alkohol, biały proszek, rżnięcie, kąpiel, złota karta, jacht, domy, miejsca – kukułcze gniazda. Już wiem, że nie do mnie należy przywracanie go do życia. Co ma w nim znaleźć? Co jest ważniejsze od życia, które ma? Moje platońskie imaginacje? Toscanini, radość, przenikająca radość z Piękna. Poczucie sensu znajdywane, odnajdywane w twórczości innych, w ideach? J. stracił słuch, stracił entuzjazm, ciekawość. *Mam często poczucie – patrząc na ludzi i świat mnie otaczający – że rzeczywiście przynoszę im „dobrą wiadomość” o innym świecie i innych istotach, choć zarazem jest to dla nich „wieść tragiczna” o śmierci i przemijaniu. Niektórzy rozumieją mnie, inni (większość) pozostają obojętni, jeszcze inni gwałtownie się przede mną bronią...* Tak. J. obudzi się wreszcie i zobaczy niedomyte talerze, sterty kopert z rachunkami, przypomni sobie o zgubionym krawacie. To wszystko zorganizuje J. w całość.

Sen szaleńca, sen na jawie, przerywany Traviattą i tak już zostanie. *Nie przypominać sobie, lecz myśleć, otwierać się na inspiracje, ciągle od nowa... Symptomy rodzenia się (pojawiania się) Wyższej Jaźni. Rosnący dystans względem siebie – swojego intelektu, uczuć, woli, popędów – z jednoczesnym pogłębianiem zdolność wnikania w innych ludzi i w przyrodę (odpowiednio- aspekt męski i żeński – wzrost wolności, mądrości i miłości. Symptomy dalsze. Po pierwsze, wzrost serenitas – widzieć rzeczy z punktu widzenia wieczności. Po drugie większa pobłażliwość wobec ludzi – tolerancja- z jednoczesnym brakiem zaangażowania emocjonalnego w błahe sprawy.*

Figueras. Cel doraźny. Wizyta uroczysta w Dali S. Koncert, fiesta. Wcześniej Pireneje. J. wyraźnie przestrzega – tam na górze, dokąd jedziemy, nie wolno ci przyznawać się do Żydów. Gospodarz jest wyczulony... A szabas?... Jak będzie z szabasem? Mam być miła, zakryta, niejawna. A więc nie uczestniczę. Wierzę J. On zna sprawy.



Czyżby tam na górze, gdzie mgły poranne przykrywają granice, gospodarze wypełniali rolę Amaury i wydadzą na nas wyrok? „ZABIJCIE wszystkich. Bóg rozpozna tych, którzy do Niego należą!” Czas nie gra roli. Dołączymy do tego miliona w imię GOT MIT UNS i po ośmiuset latach koło się zamknie, po raz kolejny. Bezkarnie nie wchodzi się w krainę, gdzie zakazano czytać Pismo. *Katharos*, ich dusze rządzą tutaj, mimo że przetrwają ci, co budują swoje doczesne miejsca. Kamienne grobowce, skazane na niepamięć. Jakie prawo ujawni się tam na pirenejskich wzgórzach, między wąskimi ścieżkami Albi, Carcassonne, Castres, Foix, Narbonne, Termes, Tuluzy, Cassès, Minerve, Lavour, Montségur? Miasta i Twierdze. Nie mówię nic. Nie znam języka tubylców.

Jesteśmy na miejscu. Stacja ze snu J. Perpignan 2004: *l'annee surrealiste...* Wspinamy się w górę. Znam te ścieżki. Wszystkie drogi w górę są do siebie podobne.

Piękna pani, naznaczona pierścionkiem wskazującym na dobre pochodzenie, przewodnikiem. J. w euforii. Jest u siebie. To tutaj gdzieś ma swoje dożywotnie miejsce, дума rozpiera go, дума. Ma pewność. Tu, wolno mu być każdym. J. jest wśród swoich. Ja, obca. Patrzę i patrzę na wzgórza i czuję niepokój. Trzymam się marynarki J. Tam, gdzie świat jest w pełni zorganizowany nagle zrywa się wiatr i miesza rozum. Powoli to nadchodzi, napada mnie ból głowy. Migrena. Zimna obręcz ściska mi głowę. Podróżni rozmawiają. Uzupełniają swoje zachwyty nad pejzażem i sobą. *Są ludzie, którzy potrafią dyskutować tylko jako apologeci – apologeci własnego poglądu; w dyskusji interesuje ich wyłącznie obrona i uzasadnienie ich własnego punktu widzenia. I nigdy nie przychodzi im do głowy, że dyskusja z kimś to często „dyskusja w sobie”, rezultat wewnętrznego rozdwojenia – i szukanie syntezy, wewnętrznej zgody i harmonii.* Ulegam, patrzę ich oczyma. Pojawia się przestrzeń. Udziela mi się radość J. Jestem nim. Tak. To jest tutaj. Pierwszy etap podróży zakończony. Na końcu górskiej drogi wita nas żelazna brama. „Chwilo

trwaj, jesteś piękna”... Oto napis nad bramami piekła... Faust nie dokonał wyboru, on się nie zgodził na siebie obecnego. Prezentacja na wzgórzu pirenejskim. Kamienne domy, dawne miejsca schronienia pasterzy, teraz uświetnione pracowitością i poczuciem sensu przybyszy. Ściemnia się. We mnie też zachodzi słońce. Rozpoczyna się czas szabatu. Za niedługo spędzimy tu wspólną noc. Prezentacja musi się dopełnić. W starych kobietach budzi się ostrożność. Kto jest kim? Pierwsza wychyla się wdowa po dyplomacie, potem kobieta w koku, ta, która знаła wszystkich ważnych w Paryżu, szkoda, że nie znałam ich pięknych – myślę. Kuzynka kobiety w koku, ukrywa się za książką, nikt nie wie, kim jest. Jest kuzynką. Kolejna Pani... wszystko ją boli, ciało i dusza. Czuję, że jest tu obca. Ma być grzeczna. Jest i Pan. Ma farbę na włosach, przyklejoną jak peruka. Wszystko KONTROLUJE, zasłużył na to. To ON wznosił tu na pirenejskie wzgórze, kamienie. Ułożył je w formę domów. Wzbudza ogólny podziw. Zbudował z nich miejsce dla muzy – żony. To ON, ON ma wszelkie prawa. GOT MIT UNS. J. jest uznanym artystą, usłyszałam. Najważniejsza jest tutaj Pani z pierścionkiem. Do niej należą te wzgórza. To jest ona, Małgorzata – mówi J. – moja utrzymanka. Niezła dupa. Kiedyś, tam w Polsce jechaliśmy samochodem, zatrzymali nas na Krakowskim Przedmieściu... Zawieźli na komisariat. To było jajo! Ona, kiedy we krwi miała dwa promile alkoholu, zdała sprawozdanie z naszego upojenia. Głupie toto... na komisariacie mówiła i tak posterunkowy zapisał: wszystkiemu winna jest IX Symfonia Beethovena. Z tego powodu będzie proces, tam w Polsce. Co za koszmarny kraj! Nigdy nie będą Europejczykami. Nie znają zasad! Nie przejmujcie się nią, ona nie zna języka... Po prostu metresa. J. jest w uniesieniu, zabawia sobą przyjaciół. Nie widzieli się tak długo. Oklaski. *„Jam jest Ten, który stworzył dobro i zło” – powiada Jahwe. Jakże się więc dziwić, że władcy tego świata – jego ziemskie odbicia – postępują tak, jak ON. Nieświadome oceny własnych czynów człowiek przypisuje zewnętrznej mocy i mniema, że moc ta czyni, które się jej podobają, uznaje za dobre, te zaś, które się jej nie podobają, uznaje za złe. Tak człowiek*

*swe własne oceny przypisuje „zewnątrznym” bogom. Tak też prawa rządzące jego światem wewnętrznym przypisuje światu zewnętrznemu.*

*Czy ludzie dobrzy muszą zawsze być słabi? Słabi „dobrzy” są może dobrzy wyłącznie po ludzku, bez kontaktu ze sferą boskości. Ci zaś, którzy ów kontakt mają, są silni miłością absolutną – także miłością obejmującą złych.*

Zwiedzanie przybytków. Bagaże wędrują do obory-salonu dla gości. Obora. Wszystko jest zaplanowane... Ból głowy wzmaga się. Robi mi się ciemno przed oczami, nic nie widzę. Poruszam się ostrożnie. J. przypomniał sobie o mnie. Wyrzywa mnie z bólu i pokazuje piękne formy na niebie. Tak niedawno byłam tam, przypięta pasami do krzesła. Przebijałam się tutaj, czekając na szabat – myślę. *Dla Boga działałam z przymusu, dla ukochanego człowieka z miłości... Dla siebie chciałabym działać z wolności... czy potrafię?*

Pani z pierścionkiem i Pan zapraszają do galerii. Ich własne muzeum doskonałości! Ukoronowanie wielu lat poszukiwań. Jak cicho... Kamienne schody w dół. Ciemno. Nie ma światła. I staje się światło. Drink, jedna mała whisky uwolni mnie od bólu. J. podtrzymuje starszą Panią. Jesteśmy na miejscu. Centrum władzy Pani z pierścionkiem i Pan. *Myśliciele, którzy twierdzą, że coś jest niemożliwe dla człowieka, np. wzniesienie się ponad wyobrażenia zmysłowe, mówią tylko o swojej własnej niemożności, bezprawnie przypisując ją wszystkim. ludziom.*

Galeria a może *gallery*. Kolekcja narzędzi tortur. Są zakonserwowane, można ich zawsze użyć. Noże, kolczatki, szczypce, obcinacze, kajdany i kajdanki, topory i toporki. Ładnie skomponowana przestrzeń. Panie szaleją z radości. Wszyscy tacy uroczyści. Koło domknęło się. Ileż to setek lat minęło, żeby przy okazji tych wyrafinowanych narzędzi, powróciły czasy wielkiej Inkwizycji. Bal wzruszeń, trwa. Żałuję, że nie ma muzyki, tylko wielcy Muzycy podnieśliby ten przybytek do rangi świątyni – marzę. Muzyka pasowałaby do nas, rozkosznych. Panie przymierzają się do okuć, zakładają kolczatki na szyje. Pięknieją, są widoczne, nareszcie. Po tylu latach nieuwagi ktoś je zauważy. Pan

znajduje klucz i z wielkim wysiłkiem zakłada, zaklucza nożne kajdany. Cieszy się. Nikt, nie wyjdzie stąd, bez jego woli. Bramy zamknięte. Boli mnie głowa. Migrena. Whisky, proszę whisky tu nie ma proszków przeciwbólowych. Tu jest dobre powietrze. Proszę pić whisky – mówi Pani z pierścionkiem. Wszyscy mówią w nieznanym mi języku. Jak dobrze nic nie rozumieć. Tylko ten śmiech. J. ogląda narzędzie rytualne do obrzezania. Tępe jakies. Każdy szuka swego przedmiotu.

*Coś: musi być, może być lub może nie być, nie może być... (musi nie być). Człowiek, którego mamy się w sobie wstydzić... Odpowiedzialność za innych: nie dodawać własnego smutku do ich życia... są różne symbole wyrażania prawdy: w idei, w symbolu i w czynie.*

J. zapuszcza się w słodki stan nadobecności. Wino w nim płynie, przelewa się. To jeszcze chwilę potrwa... zmęczenie dogoni go i J. wpadnie w śnienie. Sen będzie mocny. Po tylu dniach i nocach, na pograniczu dwóch światów będzie śnił swoją dionizyjską pełnię. Jeszcze słyszę pożegnalne – spadaj... Bez echa. Te milczące wzgórza! Wszyscy śpią, tylko wdowa po dyplomacie wypija wykradzioną butelkę wina, tłucze kieliszek, ostry dźwięk wpada we wzgórza, bez echa. Nareszcie wymiotuję. Opada ze mnie niepokój, odchodzi ból głowy. Czuwam nad pejzażem. Mgły rozciągnęły się nad świtem. Dwie świece szabasowe dopaliły się i teraz już mogą być każdą. *Nie akceptuję rzeczywistości w formie danej, to jest upadłej. To o co więc chodzi, to tworzenie rzeczywistości – w sobie i w innych ludziach.* Wszystko było dobrze przez J. przemyślane.

Podróż Transkontynentalna. Drogą między wzgórzami w dół, autostrady... Figueras. Jeszcze tylko słońce na wzgórzu. Od południa, Panie w wieczorowych sukniach. Współczesne Madonny. J. robi zdjęcia umykających chwil. Pejzaż pirenejski. Ludzie, koty i dwa maniakalne psy – uwiecznieni. Pozostaniemy nieśmiertelni. Ciąg dalszy nastąpi... Jest tuż, tuż....

Jak przystało na święto Dali S. jesteśmy odświętni. Uprzejme słowa pokrywają zamieszanie. Pan Gallery prowadzi. Jest tak stary, schorowany, jakiś

pęknięty wewnątrz. Mam wrażenie, że przywódcą naszej wyprawy jest kukła ludzka. Czeresnie, czerwono-wiśniowo-żółte kulki jak paciorki, podawane z rąk do rąk wzbogacają podróż. Znika przestrzeń pirenejskich wzgórz. J. zamyka się w sobie, niekiedy tylko rzuca sprawdzające spojrzenia wyrzucając z siebie... słowa-komendy. Patrz. Patrz na lewo, patrz na prawo. Nie patrzę. Pochłania mnie *Zbrodnia i kara*. Myślę o wyroku na siebie, o wywyższaniu siebie nad nędzę, o niepokodzeniu.

Figuerras. Czarny fortepian, główny bohater naszej transkontynentalnej podróży, stoi w świetle ostrych światła. Brzmi i brzmi... Wszystko dla Dali S., ten koncert jest dla Dali S. – przypomina Pani z pierścionkiem. A on, jak *duce* z podniesioną ręką z jadącego auta dyryguje koncertem na swoją cześć. Obok Gala.

***Bogowie kreują wielkich ludzi, wykorzystują ich, po czym napęlniają ich, po czym napęlniają ich pycha – i niszczą.***

Zaczęła się fiesta. Akord jeden, drugi, trzeci roznosi się, opada na plac dziecięcych zabaw. Stare kobiety krążą wokół ławek na skwerku. Słoneczny wiatr Figuerras porusza huśtawki i rozmazuje pirenejski, poranny makijaż kobiet. Pani z pierścionkiem dba o swoją fryzurę, J. tańczy wewnątrz, w kieszeniach pochlipują puste butelki. Niepewność napada J., udziela mi się jego lęk, świdruje umysł i ciało. Zapadam się w muzykę. Nic tam nie ma. Pusto. Akord za akordem, pusto. Trzymać się J., kochać się, dotykać, wyjść z tej próżni gdzie zapach pudru i potu miesza się z bezradnością. Trzymam się J. Pragnę jego spełnienia. Rozbieram, rozrywam ubranie, dochodzę do ciepłego miejsca. Blisko życia. Brak mi oddechu. Uspokojenie jest blisko, jeszcze tylko jeden akord, jeszcze, jeszcze jedno uderzenie. Mocniej i mocniej, szybciej, delikatniej... Grajcie tak, zaklinam, aby nie spłoszyć tej... aby, dotknąć pełni. Jest. Czuję obecność aniołów rozkoszy. Wiem! Nie zginiemy w pirenejskich mgłach. Dali S. jest z nami. Widzę go jak krąży nad nami, nad swoim miastem, placem zabaw, sceną, widownią i rozdaje, rozsypuje daktyle, rozmawia z naszymi aniołami i układa, układa swoje

wysmukłe, imperialistyczne, ultraracjonalistyczne wąsy. Tworzy doskonałość. Co za ulga... Nie jesteśmy sami. Brawo, brawo...

Płonie miasto Figueras, płonie od słońca. Po środku placu porcelanowe lalki, żołnierzyki, misie i konie na biegunach przyglądają się Płonącej Żyrafie. Fiesta. Dali S. prowadzi nas w małą muzyczną uliczkę. Wchodzi w krąg tańczących masek. Koło, koło, koło za kołem. Obojętni dla świata starcy, tańczą z nim taniec życia. Lekko, lekko nie dotykając ziemi, w rytm i takt rozgrzanej do czerwoności muzyki unoszą się w górę. Wyżej i wyżej, znikają w uliczkach.

***Bogowie cenią sobie najbardziej ofiary z ludzi – i najbardziej kochają tych, którzy składają w ofierze samych siebie.***

Miasto opadło. Ciemność pełni księżyca. Wszyscy nas opuścili. Z pogardy. Jak nigdy dotąd jesteśmy sami. Wyzwanie. Jestem uśmierzona wirującymi tancerzami. Poruszam się lekko, lekko w rytm tamtej muzyki. W J. obudziło się porzucone dziecko, zdradzony mężczyzna, bezradny starzec. Idziemy razem. Podarowani sobie, wędrujemy. W miejscu przeznaczenia, dwa małe koty leżą martwe. Pokój. Nic. Nic. Tylko my i smutek. Krąży nad nami bezradność. Trzymamy się siebie. Pogarda dopadła J., dopada mnie. Bez pamięci używamy swojego ciała. Szarpiemy się w poszukiwaniu. Chcemy zdążyć przed świtem.

Umieramy razem. Mgły w Pirenejach opadły, przy kawie zauważono naszą nieobecność.

***Trzy rodzaje wydarzeń w życiu człowieka. Działania człowieka motywowane i arbitralne (determinacja i wolność) oraz zdarzenia losowe (to, co przychodzi z „zewnątrz”). Oczywiście zdarzenia losowe mają, podobnie jak nasze własne działania motywowane, charakter zdecydowanie deterministyczny, ale w przeciwieństwie do nich nie sposób w ich wypadku wysledzić więzi przyczynowo-skutkowej, która by nas z nimi łączyła; problem wyjaśnia jedynie teoria reinkarnacji.***